

**Andrzej Szlasa – absolwent 1958**  
**Moi profesorowie**

Po rozpoczęciu roku szkolnego 1953/54, tzn. gdy rozpoczynałem naukę w naszym liceum, moja mama zapytała: „*Kto będzie uczył cię języka polskiego?*” Odpowiedziałem: „*Taka ładna pani o złożonym nazwisku (1-go września nie zapamiętałem dokładnie nazwiska pani Petryk-Laskowskiej)*”. Mama z rozbawieniem skwitowała moje zdanie tak: „*No to mam nadzieję Andrzejku, że będziesz ładnie uczył się języka polskiego!*”.

Danuta Petryk-Laskowska była osobą o wyjątkowej kulturze osobistej. To ona zaszczerpiła w mej głowie uznanie, szacunek, a może nawet w sercu miłość do polskiej mowy i literatury. To ona wskazywała nam „nieprzemijające wartości” w dziełach literackich. Dopiero z upływem czasu, po refleksji dojrzałego człowieka, mam świadomość i doceniam, jak wiele jej zawdzięczam. Za co cenilem panią profesor? Za obiektywność opisu dokonań literackich wybitnych polskich autorów, za język wykładu o literaturze, jakże różny od oficjalnych wtedy podręczników (miałem w domu przedwojenne podręczniki taty), za merytoryczne i obszerne przekazywanie wiedzy o literaturze, za sprawiedliwość w ocenie wysiłków ucznia, za wyczuwalną przyjazność dla ludzi, a w szczególności do uczniów, za kształtowanie samodzielności i odwagi w wypowiedzi - choćby była ona błędna merytorycznie, za to, że polubiłem przedmiot język polski, za rzadko spotykaną umiejętność - czasem ironicznego - ale ciepłego humoru, za skromną, ale konsekwentną postawę prezentowania swojej religijności, za dzielność matki wychowującej troje rodzeństwa, za ciepły, pogodny uśmiech dobrej mamy. Do wyżej wymienionych argumentów mogę dorzucić i ten - za urodę ładnej pani. Gdyby trzeba było powiedzieć w jednym zdaniu - to powiedziałbym: lubiłem ją za to, że była taka jaka była. Zawsze pozostanę pełen szacunku i podziwu dla niej. Jeśli kiedykolwiek wracałem myślami do czasu nauki w proszowickim liceum to pani profesor Petryk-Laskowska była tym rozświetlonym, słonecznym wspomnieniem z tamtych lat.

W miły sposób przypominam sobie inne wydarzenie, które później miało duży wpływ na mój wybór sposobu spędzania wolnego czasu. Było to latem 1956 roku. Profesor Bronisław Latowski - wtedy uczył nas matematyki i fizyki - zorganizował dla chętnych uczniów i uczennic liceum dwutygodniową wycieczkę w góry. Zebrało się nas chętnych chyba 12 osób z trzech równoległych klas. Z mojej klasy 10A był na pewno kolega Józef Krawczyk i Teresa Przytuła, choć tego już tak pewny nie jestem. Dodatkowo - pamiętam - była na tej wycieczce młodsza od nas o rok Ewa Mazurska - córka naszego wychowawcy - profesora Jana Mazurskiego. Trasa wycieczki przebiegała głównie przez Beskid Śląski i Żywiecki. Gdybym sprawdził na mapie turystycznej, to pewnie całą trasę mógłbym opisać. Pewnym jest, że na tej wycieczce „zdobyliśmy” takie góry, jak: Skrzyczne (1257), Barania Góra (1220) i Babia Góra (1725). W tym czasie nie można było ułożyć trasy „od schroniska do schroniska”, jednak znajomości i umiejętności profesora Latowskiego sprawiły, że wycieczka odbyła się zgodnie z założeniami. Niektóre noclegi były w szkołach, a jeden czy dwa nawet w stodole na sianie. Kiedy było trzeba sami musieliśmy ugotować sobie obiad podczas trasy. To była taka mała próbka spartańskich warunków. Chodzenie po górach tak mi się wtedy spodobało, że już zawsze, gdy tylko miałem okazję (np. wczasy stacjonarne w górskich miejscowościach) wycieczka górską była na pierwszym planie. Kilka wycieczek rodzinnych w Beskidy sami sobie zorganizowaliśmy. Takie były dla mnie konsekwencje tej pierwszej wycieczki z profesorem Latowskim - z przerwą w latach 70-dziesiątych, gdy bardziej zajmowałem się żeglowaniem po wielkich jeziorach mazurskich niż chodzeniem po górkach...